



Nr. 19.

8-go Maja

1913.

## CUDOWNY WYNALEZEK.

### I.

— Ty myślisz, że milion rzucić, to fraszka, ale ty nie wiesz, ile mię to kosztowało pracy zanim ja pierwszy milion zebrałem — rzekł powoli z wielką powagą miliarder Goldbrooks do swego sekretarza Karola Wiggsa.

— Ale gdyby była sprawa taka, któraby za milion przyniosła dwa — szepnął nieśmiało sekretarz.

— Gdyby, gdyby! To tylko nieszczęście, że na 100 wdających się w takie spekulacje 99 traci swoje miliony, a zaledwie jeden zyskuje. Tymczasem...

Tu urwał pan Goldbrooks i poprostu... osłupiał. Stała się rzecz niesłychana! Do jego prywatnego ofisu, do którego nawet milionerzy z wielką trudnością i po wielu ceregelach mogli się dostać... wszedł człowiek niemeldowany, niewzywany i w dodatku całkiem mu nieznany!!

— Jestem Samuel Biffs z Arizony — rzekł przybyły i zbliżywszy się do biura, przy którym siedział miliarder, położył swoją dość dużą walizkę na najbliższym krześle.

Pan Goldbrooks wreszcie wyszedł z osłupienia, poczerwieniał wyżej oczu i ryknął:

— Jak pan śmiałeś! Kto pana tu puścił?

— Nikt nie puścił, bo ja nie pytałem nikogo, lecz sam przyszedłem.

Miliarder poczerwieniał a potem posiniał z gniewu i nie mogąc słowa wymówić, pochylił się naprzód i rozkazującym ruchem wskazał drzwi.

Przybysz skinał przyjaźnie głową i rzekł:

— Tak, ja, Samuel Biffs z Arizony, największy z geniuszów, jacy ten padół płaczu oglądali, przyszedłem rozmówić się z miliarderem Goldbrooksem.

— Biffs, czy Piffs, wynoś się pan, a nie, to służba...

Tu pan Goldbrooks wyciągnął rękę, aby dotknąć guzika elektrycznego i przywołać służbę, ale geniusz z Arizony wyciągnął rękę i krzyknął:

— Ostrożnie! Najmniejsze poruszenie a to (wskazując na swoją walizkę) będzie wybuch i... pan,

ja, ten pan, i kasa, i ofisy i ten drapacz chmur i to wszystko naokoło... w proch się obrócił!

Miliarder pobladł jak ściana i wyjąkał:

— Ja?... w proch?

— Tak, wszystko w proch a proch wiatr zwieje i ani śladu nie zostanie. Wszystko będzie.. kaput!

— Kaput?... — powtarzał machinalnie pan Goldbrooks.

— Tak, tak, więc proszę siedzieć cicho i wysłuchać spokojnie, co mam do powiedzenia. Po tych słowach geniusz Samuel Biffs z Arizony usiadł nie dbale naprzeciw miliardera koło swojej walizy i wyjął papierosa z kieszeni.

Pan Goldbrooks dopiero teraz przypatrzył się z uwagą swemu gościowi. Była to postać bardzo oryginalna. Pan Samuel przerażał 6 stóp, ale za to był cienki jak tyka. Szyja żyrafia, twarz nad miarę przedłużona, nos cienki, spiczasty, czarne, przenikliwe oczy, czoło niskie a głowa pokryta bujnym, czerwonym włosiem. Kapelusz zasunął na sam czubek głowy i z na pół drwiącym uśmiechem patrzył na przestraszonego miliardera. Wreszcie, zapaliwszy papierosa, zaczął mówić powoli:

— Zrobiłem coś takiego, czego nikt do tej pory nie dokonał i po mnie nie dokona.

— A nie wybuchnie to? — przerwał pan Goldbrooks — wskazując na walizkę.

— Nie, ale nie wolno się ruszać! Otóż wynalazek mój nazywa się... aerolinilina.

— Aerolinilina?

— Tak; własność jego taka, że przy jego pomocy każdy może latać jak ptak.

— Coooo?

— Nie wierzysz pan? Zaraz pana przekonam!

Po tych słowach pan Samuel Biffs otworzył swoją walizkę, nie zważając wcale, że miliarder dzwonił zębami ze strachu — i wyjął z niej mały woreczek i zwisającymi z niego dwoma sznurami obwiązał się pod ramionami. Potem wyjął jakąś metalową rurkę w kształcie i wielkości cygara i włożył ją do woreczka.

Tak pan Goldbrooks, jak i jego sekretarz śledzili każde poruszenie pana Biffsa który teraz wyciągnął koniec cieniutkiego drutu i połączył go z rurką metalową. Dało się słyszeć syczenie, a ser-

ce miliardera biło jak młotem. Myślał nieszczęśliwy:

— To jakiś waryat, lunatyk! Wysadzi mnie w powietrze i wszystko będzie proch, wszystko... kaput!

Nagle geniusz z Arizony rozjaśnił twarz i zawołał z dumą:

— A teraz patrzcie!

I w istocie było na co patrzeć!

Pan Biffs wzniósł się w powietrze o 2 stopy ponad podłogę, potem o 4, potem wyżej i wyżej, aż głową dotknął sufitu.

— I cóż? — zawołał z wysokości.

— Cud! — zawołał z entuzjazmem sekretarz.

— Ale jak się pan na dół dostanie?

— Niema nic łatwiejszego! Widzi pan ten sznurek? Jeżeli chcę zlecieć pomaleńku, to ledwie go dotykam, ale jeżeli mi się śpieszy, to pociągnę mocno i spadnę na dół, jak kula. Przypuśćmy, że chcę zlecieć bardzo prędko!

Przy tych słowach pociągnął pan Biffs gwałtownie za sznurek i... stało się coś, czego nawet sam wynalazca nie oczekiwał. Oto w jednej chwili wywrócił koziółka i jego głowa znalazła się tam, gdzie były nogi, a nogi na suficie. Pan Goldbrooks i pan Wiggs powyrzeczali oczy a geniusz z Arizony, któremu taka pozycja całkiem do gustu nie przypadła, zaczął gwałtownie likać swoimi długimi nogami i wymachiwać rozpaczliwie rękami. Nagle z brzękiem i hałasem spadł na podłogę kryształowy pajak, za który pan Goldbrooks zapłacił 500 dolarów, a z pośrodku jego szczątków wstał pan Biffs, uśmiechnięty jak wschodzące słońce i zawołał wesoło:

— Nie prawda? Jak to czasem zdarzają się niespodziewane przypadki?

Miliarder powstał gniewnie z fotelu i zaczął:

— Ten pajak...

— Pst! — przerwał pan Biffs i wskazał palcem na walizkę. — Zresztą nic się nie stało, ja tylko za mocno pociągnąłem za sznurek.

Pan Goldbrooks tymczasem spojrzał także na walizkę i usiadł z rezygnacją w fotelu.

— A teraz zrobimy inne doświadczenie.

— Nie, nie, to już dość! — zaprotestował nieszczęśliwy miliardar, ale geniusz z Arizony, nie zważając zupełnie na pana Goldbrooksa, wyjął woreczek długi na 2 stopy a gruby jak ramię rozrosłego człowieka i pokazując go obydwoim obecnym, zawołał z entuzjazmem:

— Patrz pan, gdybym to panu do ramion uwiązał, to mógłbyś pan zalecieć aż do księżycy, a nawet jeszcze dalej!

— Co? ja? do księżycy?

— Nie wierzysz pan? Możemy spróbować!

— Nie, nie! Ja nie chcę! — wrzasnęła miliardar.

— No, to spróbujmy na czem innym. Ja chcę pana przekonać, że ten woreczek udźwignie więcej niż 2000 funtów i może z nimi polecieć do Marsa.

Przy tych słowach pan Samuel Biffs oglądnał się po pokoju i mruknął:

— Tu niema takiej rzeczy ciężkiej, ale prawda, pańskie biurko!

— Panie, to biurko jest historyczne! Kosztowało kilka tysięcy dolarów!

— Nic nie szkodzi. Puścimy je na 1000 stóp do góry a potem pociągniemy za sznureczek i ono

zleci do nas pomaleńku, łagodnie, jak dziecko na łono matki.

— Ależ panie Biffs!...

— Dalej! Pomóżcie mi wynieść biurko na balkon i pochwycił swoimi długimi palcami jeden koniec biurka, a tamci mimowoli mu pomogli.

Gdy biurko znalazło się na balkonie, pan Samuel Biffs mocnymi sznurami przywiązał do niego ten mały woreczek, potem włożył do niego większą rurkę metalową i pomajstrował jeszcze kilka minut, a wreszcie przymocował w należyтым miejscu koniec sznurka na 1000 stóp długiego i zawołał:

— Bacność! Wszystko gotowe!

Pan Goldbrooks w duchu nie wierzył, aby ciężkie biurko mogło unieść się w powietrze, aż oto biurko zadrżało, uniosło się ponad balkon, potem wyżej i wyżej...

Ludzie na ulicach zatrzymali się nagle, wszystkich głowy zadarły się do góry, tramwaje stanęły, automobile jakby wrosły w ziemię. Cały Nowy Jork patrzył na lecące do nieba biurko.

Pan Samuel Biffs tymczasem ciągle rozwijał tysiącstopowy sznurek — a gdy tenże miał się już ku końcowi, krzyknął:

— Teraz sprowadzimy biurko na dół pomaleńku, łagodnie jak dziecko. I bardzo delikatnie poruszył sznurek, a potem troszkę mocniej, — teraz poczuł, że sznurek się naprężył, więc pociągnął mocniej i... dwa łokcie sznurka zostały mu w ręce, a reszta razem z biurkiem leciała dalej do... nieba. Cały Nowy Jork zadzierał głowę do góry, i zadzierał swoją także miliardar Goldbrooks coraz wyżej i wyżej tak długo, dopóki się jego kochane i kosztowne biurko w obłokach nie rozplynęło. Gdy wreszcie spuścił głowę na dół, geniusz z Arizony zawołał wesoło:

— A co? Nie mówiłem? Przypadki niespodziewane zawsze się zdarzają! Ale to głupstwo! Sznurek był stary i urwał się.

Miliarder przez jakiś czas milczał, a wreszcie spojrzał panu Samuelowi prosto w oczy i zapytał:

— Panie Biffs, powiedz mi pan otwarcie, czego pan odemnie chciałeś?

— Ja chciałem, aby pan dał pieniądze, iżbyśmy mój wynalazek mogli obrócić na cel praktyczny.

— Dobrze. A teraz powiedz pan, czy ta pańska aerolinilina na prawdę grozi w każdej chwili wybuchem?

— Broń Boże! Ja tylko tak mówiłem, bo inaczej nie byłbyś pan chciał zobaczyć moich doświadczeń i nigdy nie uwierzyłbyś temu, coś teraz na własne oczy widział.

Miliarder Goldbrooks pogroził mu palcem na nosie, ale za chwilę rzekł na seryo:

— Spełnię pańskie życzenie i dam panu choćby 500 000 000 dolarów.

Wtedy wynalazca wyprostował się, podniósł głowę do góry i wyciągając rękę, zawołał:

— Największemu królowi milionerów, największy geniusz świata, Samuel Biffs z Arizony podaje rękę do zgody i spółki.

— Zgoda! A teraz pójdź do mnie, a tam przedstawisz mi swoje plany i ułożymy wszystko, co potrzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi)



## OŚWIADCZYNY KOWAŁA.

Miłość moja dla ciebie,  
 Jak koks u płomienia,  
 Brygido, daj mi dzisiaj  
 Twoje przyrzeczenie.  
 Serce moje gdy w sidła,  
 Twoich wdzięków wpadło,  
 Bije do cię w mej piersi,  
 Jako młot w kowadło.  
 Kiedy powiedzą „twojam“  
 I miłości słowa,  
 Usteczka tve wycięte  
 Ślicznie jak podkowa?  
 Uśmiechnij się, pokaż mi,  
 Tych ząbków opale,  
 Co tak piękne i długie,  
 Jak jakie hufnale.  
 Serce me od miłości,  
 Za tobą usycha,  
 Pierś ma, jak miech w mej kuźni,  
 We dnie, w nocy wzdycha.  
 Przyjm mą rękę, niech z tobą  
 Szczęśliwy się czuję  
 Jak ten koń, gdy go w nowe  
 Podkowy okuje...

—★—

## NA SĄDZIE.

Sędzia: Opowiedzcie, jakim sposobem Wojciecha spotkało nieszczęście.

Świadek: Szliśmy sobie po szynach, potem usłyszałem sapanie lokomotywy, potem przyjechał pociąg, potem Wojciecha nie było, potem wlałem znowu na szyny, potem zobaczyłem kapelusz Wojciecha, potem kilka kroków dalej nogę, potem rękę i potem powiedziałem sobie: „O la boga, Wojciechowi musiało się chyba coś przytrafić!“

—★—

## ROZCZAROWANIE.

Umierał znakomity doktor, przy nim czuwało dzień i noc trzech jego kolegów. Ci, wiedząc, że oczekuje śmierci bez obawy, głośno zaczęli ubolewać nad stratą jaką przez jego zgon poniesie nauka.

— Moi drodzy, otrzyście lzy wasze, — odezwał się umierający, — choć ja odejdę, pustki w kraju moim nie będzie, bo pozostawiam w nim trzech znakomych lekarzy.

Słyszając te słowa, jego koledzy zaczęli wpatrywać się w jego oczy, jakby chcieli wyczytać, którego z nich zalicza do tej trójcy.

— Lekarzami tymi, — ciągnął chory tymczasem dalej, — są: woda, ruch na świeżem powietrzu i dyeta.

—★—

## ZROZUMIAŁ.

Sędzia: Oskarżony, czy rozumiecie znaczenie przysięgi?

Mądralski: O tak! Jeżeli przysięgnę, to zostanę uwolniony, jeżeli zaś odmówię przysięgi, to zasądzą mię do kozy.

## OKROPNE DZIECKO.

Gość: Słyszałem, że jutro macie wycieczkę szkolną. Zarazem ale odbywają się zaręczyny twej siostry. Co uczynisz: czy zostaniesz w domu, albo czy pójdziesz z klasą?

Tadzio: Naturalnie wycieczka mi miłsza, bo mam ją tylko raz w roku. A co do siostry zaręczyn, to to przecież ani nie pierwszy, ani też nie ostatni raz.

—★—

## MYLNE UMIESZCZANIE PRZECINKÓW.

... Obok niego szedł pan radca na głowie, miał kapelusz popielaty na nogach, żółte buciki w rękę, laseczkę bambusową ze srebrną rączką na uchu, zwleszał się sznureczek od monokla.

—★—

## W OGRODZIE.

Ojciec (do syna ściągając go z jabłoni): Czekał huncwocie, zaraz cię tu nauczę spodnie drzeć.

Syn: Ach tatku, ja sam to potrafię, tylko mię nie bijcie!

—★—



Austryak wybrał się do króla Nikity z „rozkazem“, aby tenże copędzej opuścił zdobyty przez siebie Skodar, ale gdy mu król Nikita przedstawił swego nowego sprzymierzeńca i współnika Esseda baszę, Austryak nie wie na razie, co począć i jak postąpić. Może trzeba mu będzie „rozkaz“ schować do kieszeni i — wrócić do domu.

## MONOLOG MIĘSA ARGENTYŃSKIEGO.

Jestem mięso z Argentyny,  
Nie znające swej przewiny.  
Jaka we mnie wina, zbrodnia,  
Próżno pytam siebie co dnia.

Na świecie każdy swój żer je;  
Mnie wypasły bujne prerye.  
Wypasły mnie ku swej chwale  
Niezrównanie, przerastałe.

Wieszczów fantazyę zachwyca  
Mój usztyk, czy poledwica.  
Chemik zachwycon w dwójnasób,  
Licząc białka mego zasób.

W Argentynie mąż uczony,  
Wymacał mnie z każdej strony.  
Badać ściślej trudno chyba;  
W końcu rzekł: Zdrowe, jak ryba!

A potem z czcią zasłużoną  
Pośród lody mnie złożono...  
W lochach leżę do tej chwili,  
Drwiąc z mikrobów i bakcyli.

Kto zgadnie, komu co czas da?  
Ruszył ze mną okręt, jazda!  
Zabrakło mięsa Europie,  
Żrej-że se tam, babo, chłopie!

I jedzą-ci Angliczany,  
Je Francuz wygustowany;  
Włochom aż się uszy trzęsa,  
Tak praktykują to mięso.

Słyszcie, jak mnie chwala mędrzy,  
Wyrachowani Holendrzy,  
Szwajcar, czy też Szwed — bezkłamnie!  
Dadzą się porąbać za mnie.

Przyjechałam do Tryestu:  
— Dobrzy ludzie! Mięso jest tu!  
Wołowina z baraniną —  
Oblizywać palce ino!

A oni — w rady dopiero!  
Raz biera, to znów nie biera;  
Austry tak, Węgry inaczej...  
A głodny naród w rozpacz.

Nie? — to nie! Głupi narodzie,  
Jak chcesz, no to giń se w głodzie...  
Gwiżdżę na agrarne twierdze:  
Ja się dla was nie zaśmierdze!



### ZA DALEKO.

Bankier Goldmacher targuje się o konia.  
— A czy ten koń dobrze chodzi?  
— Doskonale! Dwadzieścia mil jedzie bez od-  
doczynku.  
— To ja go nie kupię. Ja mieszkam pięć mil  
za miastem, to onby mnie za daleko poniósł.

## W WAGONIE.

Poważna małżonka poważnego aptekarza z  
prowincyi, jadąc pewnego razu koleją, wiozła z so-  
bą sposobem kontrabandy pudła. Czworonożny  
pasażer z początku zachowywał się spokojnie, ale  
już po przejechaniu jednej stacyi zaczął okazywać  
oznaki znudzenia, objawiając je głośnie: ham,  
ham!

Pani aptekarzowa jeła wykazywać pudłowi  
całą niewłaściwość jego postępowania i pieszczotliwie odezwała się do niego:

— Siedz cicho, Azorku! Nieładnie tak ciągle  
wolać: ham! ham!

— Przynajmniej nie szczekajcie państwo we  
dwoje! — upominał siedzący, naprzeciwko pasażer,



### KOCHAJĄCY MAŻ.

— Trzy dni spać nie mogłem, tak okropnie  
żonę moją kaszel dusił!

— I nie posłałeś po doktora?

— Teraz już nie potrzeba, bo dziś wyjeżdżam  
na dwa tygodnie.



### MILY SIOSTRZENIEC.

— Czy ty, Stasiu, zawsze bywasz taki mil-  
czący?

— Nie, wujaszku, tylko teraz mama obiecała  
mi złotówkę, jeżeli będę milczał i nie powiem nic  
o czerwonym nosie wujaszka.



### W KŁOPOCIE.

Pewien bardzo nieśmiały kawaler ze wsi umy-  
ślił zrobić swej narzeczonej prezent i idzie do skła-  
du cukierków po czekoladę.

— A ile mam dać łaskawemu panu?

— Ano, tyle jak pan sądzi, że trzeba wziąć,  
gdy się idzie do panny.



### W BUFECIE NA STACYI KOLEJOWEJ.

— Kelner, dlaczego dajecie tak małe porcye?  
— Żeby się państwo nie spóźnili na pociąg.



Józio: Proszę taty, co to jest anonim?

Ojciec: Anonim, moje dziecko, jest to czło-  
wiek, który coś robi, naprzykład: napisze, nary-  
suje, itp. i chce pozostać wobec świata nieznanym.

W dwa dni później:

— Józio, kto zjadł te ciastka kremowe z spi-  
żarni?

Józio: Anonim, proszę taty!

